



STEFAN ŻEROMSKI

Wszystko i nic


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

STEFAN ŻEROMSKI

Wszystko i nic

Ledwie się drzwi zamknęły i dwaj Olbromscy, — Rafał i syn jego, Hubert, — stanęli na ganku, wichura poczęła ich szarpać na wsze strony. Zadęty był cały ganek i pół sieni. Ciemność, choć oko wykol, niezgłębiona była wokoło. Mały Hubert brnął po zaspach, po czymś, niby dachy, i nie mógł wyjść z podziwu, że jest na znajomej drodze, wygradzonej z dwu stron parkanem do motkowskiego dworu. Z okien dworskich padały rzęsiste smugi światła. Dojrzał w jednym promieniu ogromnego parobka w grubym kozuchu i baraniej czapie, na której osiadła druga czapa, śniegowa, — jak trzymał u pyska Łyskę. Grzywa Łyski fruwała, a ogon niosło w bok za wiatrem. Namacali obadwaj z ojcem saneczki, dwa w nich siedzenia ze snopków kłoci okrytych kilimkami. Wszystko było śniegiem grubo zadęte. Na tylnym siedzeniu już się nawet usadowiła spora zaspą, gość nieproszony. Łyska chrapała, biła kopytami. — Wysoko, w ciemnym pustkowiu nocnego nieba, huczały wielkie topole i lipy, otaczające dwór, oraz zabudowania motkowskie. Ten głos był tak złowrogi, że lęk niepojęty serce dziecka ogarnął. Widziało się, że to jakowaś dzika moc niesie się wśród poświstów górą niewidokiem ponad cichą, przyziemną siedzibą, że się z pustki polnej wydziera przeciwko światłom jej okien. Huk ciągły, jednostajny wznosił się kiedyniekiedy do niedosięgłej wyżyny. Małe serce mdlało i truchlało, poddane temu nieubłaganemu głosowi.

Parobek Walenty uspokajał kobyłkę, przemawiając do niej słowami, których drukować nie sposób. Wsunął wreszcie lejce w ręce pana Rafała Olbromskiego, gdy poznał, że się ten już umieścił na przednim siedzeniu, — i znikł wnet w nocy, przepadł w ciemności, stał się niczem, jak sama ciemność. Z ganku zabrzmiał w wicherze pożegnalny głos motkowskiego dziedzica, ale słów już nie można było rozeznaczyć. Wiatr je z warg porwał, unióś w noc i jakby w śnieg cisnął. Pomknęli z miejsca. Łyska zmarznięta, schłostana od wiatru, susami wypadła z podwórza, minęła pierwszy zakręt na prawo za bramą, po chwili drugi na lewo... Sanice zatoczyły okrągły kształt dwu brzuśców litery S i pomknęły na szeroki wygon drogi ku wyrwom. Huk drzew przycichał, wnet ustał, jakby się w ziemię zapadł. Olbromski-ojciec orjentował się co do wiatru. Wiatr bił z prawego boku, od lasów i wyraźnie świstał między żerdziami obustronnego płotu tej drogi. Między temi płotami leżały zasy niewiarygodnej wysokości. Kłaczka wnet się wysiepała, kopiąc się w śniegach, choć saneczki były najlżejsze, jakie być mogły, bose, obciążone tylko dwiema z boków deskami i parą siedzeń. Dla przebycia zasp trzeba było torować szlak w śniegu sypkim, jak pył najlżejszy, ale głębokim na chłopa. Szukając drogi sposobniejszej, Łyska szła to w prawo, to w lewo, szarpała sanie, aż dyszel trzeszczał i skręcała na miejscu, gdy jej nozdrza i oczy razila zadymka, tnąca ostreimi pyłami. Obadwaj podróżni pamiętali, że są w opłotkach i co chwila radzili z cicha, czy jeszcze nie wyminęli wygonu. W pewnej chwili wątpliwość nasunęła się aż nazbyt wyraźnie. Pan Rafał Olbromski zatrzymał kobyłkę w miejscu, kazał Hubertowi wsiąść, iść na prawo i zbadać, czy na płot trafi. Mały Hubert wyskoczył w śnieg, szedł jakiś czas we wskazanym kierunku, brocząc w zaspie, ale płotu nie znalazł i poprzedniego świstu między żerdziami nie słyszał. Ruszyli teraz wolniej, noga za nogą, pustkowiec, gwarząc o ciemności i wietrze, i dopytując się raz wraz nawzajem, czy im nie zimno i czy nogi nie przeziębły. Mały Hubert miał dopiero lat jedenaście, ale te miejsca znał jak najstarszy ze starych. Między rodzinnymi Wyrwami a folwarkiem sąsiadów na Motku było niecałe dwie wiorsty odległości. Obiedwie habendy dzieliła rzeka, płynąca w nizinach, oraz przestrzeń nieużytków po wyciętych i wykarczowanych lasach, pełna wykrotów i pniaków, dolów i wywożonych kamieni.

W pustkowiu tam stały jeszcze tam i sam nasienne drzewa, przeważnie wielkie jodły. Każde z tych drzew Hub znał jak swoją kieszeń. Na szczycie każdego z nich był, pod każdym na coś czatował, chronił się od deszczu, albo upału. To też teraz wbijał oczy w ciemność, usiłując dostrzec znajome kształty jedli lub świerka, żeby ojca zakasować w znajomości terenu, żeby pierwszy dać znać o jarzabie z pasyjką, albo o jodle podpalanej. Lecz czas mijał, saneczki sunęły w śniegach, jak łódź po wzburzonych bałwanach, a przewidywanych znaków nie było w mrokach ani śladu.

Podmuchy wiatru ciskały na sanki istne fale. Sypało, jak z wora miękkimi płatami, albo ciął w oczy i uszy grad ziarnisty, zacinający aż do krwi. Sanie już to chyliły się na bok, już uderzały o jakoweś twarde przedmioty podśnieżne. Międzyłesna, pustkowiana burza stawała się coraz dzikszą. W nieprzejranej dali ryczały przeraźliwie głosy, istne wycia leśnych djabłów. Las li to huczał, czy się walały wody z upustów na Motku? Łyska chrapała niecierpliwie. To się zrywała do biegu susami, to znowu z trwożnym prychnieniem stawała w miejscu. Podróżni spostrzegli, że mają wiatr za plecami. Jechali tedy w złym kierunku.

— Wiatr ją w nozdrza bije i, szelma, kręci mi się w rękach... — rzekł pan Rafał do syna.

— Niech ją tatko od siebie i ostro, batem po nogach!

— Ba! — żebym to wiedział!... Od siebie, mówisz?

— Musimy pod wiatr, bośmy tak wyjechali.

Wzięto się pod wiatr, mimo Łyski oporu. Jechali teraz ostro, wprost w paszczę nawałnicy. Przejmujące zimno ozionęło ich, jak lodowatą wodą. Huk się wzmógł, ze wszech stron wirem pędziły kłęby kurzawy.

— Zakryj się! Skul się i owiń kilimkiem! — wołał na syna Olbromski.

Słowa te leciały porwanymi sylabami, jakby płatami, na obraz śniegu. Obiły się tępo o dziwnie przytłumiony słuch.

— Mnie ciepło! — odkrzyknął mały.

Zwinął się w sobie, ręce zasunął w rękawy bekieszy, głowę wtulił w ramiona i cieszył się z wichury, ciemności i jazdy, głównie zaś tą pewnością, że to jest jeszcze dziś, nie dzień jutrzejszy, nie ten ohydny, fatalny, ostatni dzień godnych świąt, po którym trzeba wracać z umiłowanej strony, z domu i ukochanych rozłogów — do szkoły.

W pewnej chwili ojciec zatrzymał Łyskę. Medytował w milczeniu.

— A co, tatku? — zagadnął Hubert.

— Co u licha! Nie wiem, gdzie jestem... Niby Motki — tam. Wyrwy — tak jakby tu... Ale w takim razie powinienby już być rozdół, rzeka, most. Tymczasem, tu jakby wciąż pod górę...

— To prawda. My wciąż jedziemy pod górę...

Olbromski przez czas pewien rozmyślał bezradnie. Wicher chłostał go po twarzy nie tylko garściami śniegu, lecz i włosiem ogona kobyły, jak batem, świstał na strony. Zimno przejmowało do kości. Łyska skoczyła przed się, targnęła sanie i pomknęła pod wiatr znowu. Pędzili galopem, na oślep przez czas długi, — tak dalece długi, że można było znakomicie przejechać z folwarku do folwarku. Sanki magaly się z boku na bok, leciały w jakoweś doły i wyrwy i uderzały swemi nosami w zagony. Gdy znowu przystanąli, nie słychać było nic prócz huków, lecącego górą i świstu między sanicami.

— Pole, do stu djabłów! — unosił się Rafał Olbromski. — Jesteśmy na jakimś polu... Cóż to za rola? Zleż no, synku, i popatrz, w którą stronę idą zagony... Może co z tego wymiarkuję...

Hub ochotnie poskoczył, deptał tu i tam grzbiety zagonów, aż wreszcie stanowczo, niemal z tryumfem oświadczył, że zagony idą tak i tak. Nie na wiele się to przydało. Po długim zastanowieniu zdecydowano, że skoro wiatr ciągnie stąd, a zagony idą tak, więc trzeba jechać w takim oto kierunku. Pojechali. Z zagonów sanie pomknęły na nieużytki i znowu poczęły przelewać się z boku na bok. Trafili w jakieś krzaki zupełnie nieznanymi, w miejsca najzupełniej obce, nie istniejące w jakimkolwiek wspomnieniu. Zdumienie ogarnęło obydwu. Za temi zaroślami były jakoweś kamieniste wertepy, niemożliwe do przebycia i również nieznanne. Poczęło to Olbromskiego doprowadzać do rozpaczliwej pasyi. Stosując się do rady ojca, Hub wysiadł, ujął Łyskę za uzdę u pyska i jął ją prowadzić pod wiatr, żeby nie zbaczała z obranego ku domowi kierunku. Rafał Olbromski, siedząc

teraz beczynn timer, nasłuchiwał, czy się w którejkolwiek stronie nie odezwie naszczekiwanie psów. Powinna była być w stronie, dokąd dążyli, wieś jedna i druga, powinny były być na uboczu kolonje czynszownicze, samotne chaty na odludziu... Nigdzie, z nikąd odgłosu życia! Hub z miłością głaskał pysk klaczy, szeptał jej do ucha sekretne słodkie słowa i odmierzał pieszczołki. Wkrótce, brnąc pod wiatr w zaspach, zdyszał się i spościł doskonale. Sprawilo mu to szczerą rozkosz. Czuł się na równi z ojcem mężczyzną, doznającym niepowodzenia, a nawet niebezpieczeństwa. Zresztą to, co się działo, było dobrem, bo dzieliło i wciąż jeszcze trzymało w oddali od fatalnego jutra. Pod nogami, w głębiach śniegu czuł pustkowicie i rad był, że to jest wciąż jeszcze pustkowicie, a więc miejsce dalekie od Wyrw i od Motka. Radby był iść tak przez całą tę ziemię i przez całą noc, wzniosła w swej świszczącej potędze, piękną w nieprzeniknionym mroku i radosną nad wszelkie słowo w swej rozpasanej dzikości. Och, radby był iść tak obok ukochanej, najmilszej Łyski na kraj świata!

Inaczej w tem pustkowiu czuł się ojciec. Wstyd go prosty palił i ogarniała wściekłość. Waleśał się oto po przestworze, znanym jak własna izba, po dziedzinie, którą od tyłu już lat zamieszkiwał, zimą i latem po tysiąckroć przebył we wszystkich kierunkach... Było to zarazem śmieszne i głupie błąkać się w polu między Wyrwami i Motkami, gdzie z zawiązanymi oczyma każde dziecko trafi do wymienionego punktu.

W trakcie pochodu przez zasy, Hub posłyszał przed sobą szczególny szum. Zrozumiał, że to huczy w wicherze wielkie drzewo. Skierował natychmiast ku niemu Łyskę i wnet mokre, grubo śniegiem obwalone gałęzie jodły, jak łapy potworne, ogarnęły go z prawej i z lewej strony. Przystanął. Ojciec zsunął się z sanek na ziemię i zbliżył do drzewa. Oglądali je obadwaj z synem, obesli dookoła i... po szczegółowym badaniu przyszedli do jednomyślnego wniosku, że jest to jakieś drzewo zgoła nieznanome, jakby nie tamtejsze... Stojąc obok tego drzewa, które huczalo swą wzniosłą i niepojętą pieśń, Rafał Olbromski przenikniony został nagle a niespodziewanie przez dawny, zapomniany lęk... Ohydne wspomnienie przesliznęło się wskroś jego duszy. Obawa o dziecko ścisnęła mu serce. Kazał chłopcu wejść na sanki, owinąć przemoczone nogi kilimem, — a sam stał w zamysleniu bezradnem obok konia. Postanowił jedno: nie oddalać się od spotkanego drzewa. Ale czekać do rana na swem, czy sąsiedzkim polu!... Było coś obrzydliwego w samym zarodku tego postanowienia. Wyjechali byli ze dworu na Motku zaraz po kolacy, więc na jakie dwie z górą godziny przed północą. Mieli tedy przed sobą do świtu dziesiątek godzin. Wahać się co czynić, starszy pan ujął klacz za uzdę i wprowadził za drzewo, zasłaniając ją tym sposobem od fali wiatru. Wziął chłopca z sanek na ręce i przeniósł go dla rozgrzewki na grzbiet kobyły. Hub siadł oklep na Łysce z radością i czule ją zaraz objął rękami za szyję. Klaczka wraz głucho, a z cicha westchnęła, — nie wiedzieć, z radości czy ze smutku, — i poddała się losowi. Ciepła para dymila się z niej obficie.

— Nasłuchujmy, synku, szczekania psów!... — rzekł ojciec.

Słuchali tedy pilnie — pilnie. Objęły się o ich uszy zdala lecące poświsty i przyziemny huk, gdy wicher głuchymi polami gnał w międzyleśne szyje, na zamrznięte smugi i przydęte pastwiska, w doliny wśródgórskie. Głęboka do nich mówiła, samoistna moc i groźny urok obejmował dusze. Obadwaj byli zasypani śniegiem, zgrzani i wzburzeni. Nim się spostrzegli, już ich poczęło zadymać, a sąsiedk śniegowy rósł stale dokoła nóg końskich i przed saniami. Drzewo powiewało gałęzmi. Od chwili do chwili, po krótkich przerwach ciszy, działo się w niem jakgdyby taniec przedziwny, pełen pohutnego kłapania. Hub wbijał oczy w ciemność, z przestachem i zdumieniem spostrzegając, jak wielkie łapy jodłowe, obleczone w grube, białe rękawice ze śniegu, klaszczą raz wraz jedna w drugą, — «kosia — kosia — kosiana»... Zdało mu się widzieć zawroźdzenie czubem pijanego, głupio-ślepego — «da dyna»...

Dalsze spławy drzewne, szerokie i obwisłe, zamieć podgarniała wysoko, jakoby podół olbrzymiej spódnicy i wiewała nimi dookoła pnia. Wewnątrz wlochatych gałęzi pień głucho i ponuro stękał.

Aczkolwiek jodła osłaniała od wiatru, zimno się wzmagało. Stojących bez ruchu wicher przejmował w ramionach i plecach do szpiku kości. Nogi od wielkich palców poczynało kłuć szpilkami. Śnieg stawał się coraz bardziej gęsty, sypki i zaciekły.

Pan Rafał okrył plecy chłopca kilimem, obiedwie jego nogi obrócił w jedną stronę z końskiego boku, sam przytulił się do tego boku i grzał dziecko sobą. Stopy swe w śniegu otulił drugim kilimem i tak, objawszy się, grzejąc konia i nawzajem przezeń ogrzewany, pod zasłoną drzewa przetrwać postanowił burzę. Tymczasem zadymka wciąż potężniała, a wiatr się do istotnego szalu rozpętał. Ojciec raz wraz upominał synka, żeby zaś nie drzemał. Ale malcowi, właśnie jakby na przekór, śnić się poczynały różności, głowa jak kowadło ciężyla, a oczy zlepiały się, niby pod nawałą lotnych płatków śniegu. Wielka jodła śmiała się z niego niemiłym chichotem, — magał się w mroku potworny jej kadłub, jakoby obraz grubego i sprośnego chama, gdy, spity do zbydlęcenia, w czarnym karczmiśku tańczy sam ze sobą w próżni i szaleństwie. Chwilami ów taniec przeistaczał się w groźne zawrodoenie. Objęcia gałęzi schylały się nisko, coraz niżej. Długie pazury, wysunięte z kosmatych białych osłon, sięgały po głowę...

Pan Rafał w półdrzemaniu czuwał wciąż nad jednym wspomnieniem. Miał w wyobraźni stada wilcze. Zaniedbał być wziąć broni ze sobą, a wilki w tej leśniej stronie nie były rzadkością. Zimą porą stada ich zagładały na podwórza folwarków. Teraz żywiej, niż kiedyindziej, miał w pamięci zdarzenie, gdy w noc księżycową, na skutek zajadłego szczekania kundysów pod dworem wyrzawszy oknem, zobaczył ogromnego wilka tuż pod gankiem. Przypomniały mu się najżywiej wszystkie afekty, gdy, naciągnawszy buty na bosc nogi i narzuciwszy na ramiona tylko lisiurę, wyszedł na ganek i strzelił do napaśnika. Pamiętał jak pojedynek uskoczył za bramę i jak to on sam jeden — z ostatnim nabojem w lufie dwururki — pędził za nim wygrodzoną drogą aż poza stodoły. Przeszedł wspomnieniem kolejno każde wrażenie gdy tak naprzeciwko siebie stali w jaskrawem świetle księżycy: wilk w polu, o kilkanaście kroków oddalony, i on sam pod wysokim parkanem za folwarcznemi stodołami. Oto śni się, że jak wtedy zmierzzył do zwierza i trzyma kolbę przy policzku... Oto wilk nagłym piorunowym susem skoczył ku niemu i runął mu u nóg, gryząc krwawym pyskiem zmarznięte zagony, gdy go nieomylnym strzałem powalił.

Mrowie tamtego wspomnienia nie chciało z ramion odejść. Tkwiły wciąż w nieświadomej pamięci nieznośne obrazy bezrozumnej walki z potworem za dawnych dni młodych... Postanowił czekać choćby do rana i nie oddalać się od drzewa, ostatniej obrony w razie napadu wilczej czeredy. Nie było to zaiste rozumowanie, lecz gorzkie czucie, — napół jasnovidzenie czegoś groźnego, co w pobliżu czyha pod zasłoną tej ciemnej nocy.

Hub coś sennie gwarzył. Głowińę oparł na ojcowskim ramieniu. Wszyscy troje, nie wyłączając Łyski, cierpliwie nasłuchiwali, raz wraz podnosząc głowy i nastawiając uszy. Gdy wiatr się zagnała wzmagął na obraz szaleństwa tego całego obszaru, a noc huczała, — pan Rafał otulał szczerzej dera dziecko, sam się doń przyciskał i czekał z bijącym sercem.

I oto zagnała, jakgdyby wyczarowane z nicości przez niepojęte uczucie, — kędyś w nocy, daleko — daleko błysły i zgasły dwa światelka. Wnet znowu błysły — i przygasły.

— Wilcze ślepie... Czy sen?... — zmagął się w sobie Olbromski.

Wlepił w próżną noc oczy... Oto znowu: — zabyłso — przygasło!... Porwał dziecko w ramiona, — przekonany, że to nie złuda, — nie mówiąc ani słowa, otulił je w dera i chwilę jeszcze czekał, nim się rzucić i drapać po gałęziach na szczyt jodły. Głucha wewnętrzna modlitwa snuła mu się po wargach.

Dwa światelka znowu zaświeciły i zgasły. Lecz razem w podmuchu wiatru dopadł ucha tęsknoty, błogi dźwięk.

— Tatus! — Dzwonek!... — porwał się mały.

— Tak jakby prawda... Dzwonek... — wyszeptał ojciec.

Wpatrzyli się w przestrzeń. Wsłuchali w wicher. Dojrzeli przeciągle błyszczące dwa światła. Ujrzeli wyraźnie ich kołysanie miarowe. Usłyszeli daleki — daleki pogłos... Serca uderzyły z radości. Zaszepotali do siebie bez sensu i związku. Polysk i głos zbliżały się bardzo powoli. Czekali cierpliwie, w milczeniu. Nareszcie, gdy w ciągu kilku chwil obaj widzieli wyraźne migotanie i słyszeli daleki klangor jednotonnej melodyi dzwonka, rzucili się do sanek i pojechali co tchu na spotkanie światła. Łyska, skostniała z zimna, w cwał pobiegła.

— Kto też to tędy może jechać ze światłem i dzwonkiem? — głośno rozmyślał Olbromski.

— Może to nas Michcik szuka?

— Ale, gdzie! W najgorszym razie przypuściłby, że nocujemy w motkowskim dworze.

Coraz wyraźniej widzieli dwa kręgi światła latarni i odróżniali każde uderzenie podróżnego dzwonka. Wreszcie pan Rafał okrzyknął zdala zbliżający się pojazd. Światła w miejscu stanęły. Podjechał blisko — i spostrzegł w światłach padających od latarni zady dymiące, nogi i uprzęż pary koni.

— Kto woła? — spytano od światel.

— Ludzie, zblakani w polu. A kto to jedzie?

Nie odpowiedziano na to pytanie. Olbromski podciął Łyskę i zbliżył się do samych sanek. Oddał wodze w ręce Huba, a sam wysiadł i poszedł poza latarnie.

— Któż to jedzie? — pytał powtórnie.

— Z poczty jedziemy...

— Tędy z poczty?

— No, tędy.

— A kto jesteście, człowieku?

— Ja poczytion. Pana przejezdnego wiozę na sandomierski trakt.

— Skądże wam do głowy przyjść mogło tędy lasami jechać na sandomierski trakt.

— No, ja jadę, jak każą. Dziś pan przyjechał skądś zdaleka, pocztę najął i kazał jechać na sandomierski trakt. A wyście co za jedni ludzie?

— Ja tutejszy, z Wyrw dziedzic, — alem, do dyabła! w powrocie do domu pobłądził. Pocztarek, wiesz ty może, w której stronie będą Wyrwy?

— Dy my stamtąd, z Wyrw jedziemy.

— Jakim sposobem?

— Zajechaliliśmy tam, jak się ta zadma z samego wieczora zawzięła. Pan się bał puszcząć na taki czas. Ale dziedzica nie było, sługa nas ta stary nie chciał przyjąć na nocleg, powiedział, że nie bierze na swoją odpowiedzialność, bo pana niema, a my nieznajomi, no i musieliśmy puścić się dalej na całą noc. Tak jedziemy noga za nogą. To samo nie wiemy, gdzie my są teraz.

— Most na rzece przejechaliście?

— No, dopiero co!

— Ludzie! wróćcie się ze mną do Wyrw. Przenocujecie we dworze, a nam latarnią poświecicie, żebyśmy mogli do domu trafić.

— A wyście to sam pan dziedzic z Wyrw? — dopytywał się pocztarek.

— Sam, Olbromski.

— Nie wiem, jako pan?... — zwrócił się woźnica do swego pasażera.

Rafał Olbromski postąpił kilka kroków dalej i zbliżył się do ciemnej figury, siedzącej w saniach. Z bezwiednym ruchem skłonił się i rzekł:

— Jestem Olbromski. Z kimże mam zaszczyt spotkać się w tak ciężkiej okoliczności?

Macał rękoma w ciemności i dotknął futra, które otulało siedzącego podróżnika. Poczytion wstawił w latarnie nowe łójówki i wtedy nieco blasku padło na pasażera. Olbromski dostrzegł futro niedźwiedzie, osypane śniegiem. Gdy tak dłonią szukał w ciemności, zagnała jego palce trafiły na rękę milczącego dotąd człowieka. Ręka tamta ujęła dłoń Rafała i na zewnętrznej powierzchni tej dłoni postawiła mocnem i długotrwałem uciśnieniem trzy środkowe rozstawione palce. Po chwili te zimne, zgrabiałe i twarde palce oderwały się i znów wgniotły w rękę, ale teraz były skupione w jedno. Całe ciało Rafała Olbromskiego od tych dwu dotknięć zadrżało, jakgdyby na nowo przesyte mrozem. Zrozumiał tajemnicze pozdrowienie, sekretny znak, wyrażający dwa wielkie pojęcia: „*Wszystko*” i „*Nic*”.

Nie wiedział, z kim się przed chwilą w polu zetknął i kto go powitał, ale natychmiast, bez dalszych pytań zarządził, ażeby pocztarek nawrócił i w kierunku Wyrw jechał przodem po swych własnych śladach. Wnet sanie przyjezdných ruszyły naprzód, świecąc latarniami. Olbromski z synem zdążył tuż za nimi po świeżo przetorowanych, lecz już przydętych śladach.

Zsunęli się wnet z płaskowzgórza w rozdół rzeczny, dziwiąc się niepomału, jakim sposobem nie mogli byli trafić w to miejsce, zrozumiałe, jak na dłoni. Za mostem ruszyli ostro i przed upływem półgodziny byli za bramą dworską w Wyrwach. Zajadłe szczekanie mnóstwa psów obudziło służbę, błysnęły w oknach światła. Zaskrzyptały drzwi i ktoś wyszedł z latarnią.

— Michcik! — wołał Olbromski, — dawaj mi tu latarnię!

Gość wysiadł ze swych sani i, nie mówiąc ani słowa, pośpiesznie wszedł do sieni. Postępując tuż za nim, pan Rafał znalazł się w pierwszym pokoju, zanim jeszcze służący wkroczył z latarnią. Zabłyły wnet woskowe świece w lichtarzach. Przybysz ociążałemi ruchy usiłował rozwiązać szal, którym był omotany kołnierz jego futra w taki sposób, że twarzy nie było widać. Dopiero gdy Olbromski wydał służącemu polecenie, ażeby przyjezdny pocztylion postawił swe konie przy dworskim żłobie, sanie wtoczył do wozowni, sam dostał posiłek i posłanie, — i gdy ów Michcik ze swą latarnią wyszedł z pokoju, — przybysz otrząsnął z futra nawiane śniegi, odsunął i zrzucił z ramion krótkie futro. Ujrawszy jego twarz, gospodarz domu wydał cichy, a do cna przerażony okrzyk. W milczeniu patrzył w twarz tego gościa. Tamten krótkim gestem nakazał mu sekret. Obejrzał się uważnie po pokojach, po zamrzniętych szybach okien... Uśmiechnął się.

— Nie spodziewałeś się, bracie, że mnie tu zobaczysz... — rzekł głosem dźwięcznym, cichym, lecz zdradzającym wewnętrzną siłę.

— W istocie...

— Czy ten służący przyjdzie tu jeszcze?

— Chciałbym, żeby przyniósł pościel na tę sofę.

— Pościel sami przyniesiemy. Nie chcę, żeby mię widział.

— To wierny, rodzony człowiek. Żołnierz, sługa i przyjaciel jeszcze nieboszczyka brata.

Po wargach gościa prześlizgnął się zimny przeczący uśmiech. Poruszył głową na znak, że nie wierzy nikomu.

— Przyniosę sam... — rzekł posłusznie gospodarz.

— A mały?

Hub siedział w kącie, w ciemnym kącie, do którego nie docierały płomienie świec, i w istocie przez sen przypatrywał się nieznanemu. Gdy z wichury, chłoszczącej tak długo, wszedł do ciepłego pokoju, zrobiło mu się nadzwyczaj gorąco w policzki. Uszy mu się paliły, a oczy, jakby zasypane piaskiem, zamykały wbrew woli. Gość był wzrostu więcej, niż średniego, prosty, szeroki w barach, silnie zbudowany, choć szczupły z pozoru. Twarz jego była prześlizczona, pociągła, niemal chuda. Duże, niebieskie, przezroczyście, iście jastrzębie oczy zimno patrzyły na wszystko z uwagą, z medytacją i zastanowieniem wewnętrznym, jak gdyby z rachunkiem nieustającym. Nos był, jak wyrzeźbiony w kamei, nieco wydatny, chrząstkowaty, pociągły. Mały wąs ledwie-ledwie przysłaniał foremne usta. Na owalu twarzy i na brodzie znać było śniady ton po ogoleniu zarostu. Ciemne i gęste, ale już siwiejące włosy były krótko przystrzyżone i zaczesane na bok od przedziału na lewej stronie czaszki. Człowiek ten mógł mieć lat czterdzieści pięć lub sześć, ale młodość jeszcze nie znikła z tej twarzy i postaci. Wszystkow nim było harmonijne i jakby dopasowane w sposób wysoce doskonały. Ruchy swobodne, naturalne i niewymownie zgrabne nadawały się do rysów twarzy i jej wyrazu. Każde spojrzenie i każdy gest były szczególnie, możnaby powiedzieć, nieodwołalnie, kategorycznie piękne i stanowiące ostatni wyraz tego, co być powinno w danych okolicznościach, chwili i miejscu. Coś niepospolitego, nakazującego bezwzględne posłuszeństwo, władczego było w każdym uśmiechu, spojrzeniu, ruchu równych, skrzydlatych brwi, w każdym skinieniu ślicznej ręki i cichem słowie. Widać to było od rzutu oka, że pod osłoną tych kształtów, tak zastanawiająco doskonałych, istniał i działał niezłomny rozum, a same rysy oblicza były tylko zewnętrznymi doskonałości jego symbolami. — Lecz w tem pięknie twarzy widać było również łamanie się uniesień, milczenie pasji, zatajenie, opanowanie, zastygnięcie w lodowaty spokój tortur duszy. W błysku przejrzystych oczu, w badawczym, inkwizytorskim ich spojrzeniu strzelała niekiedy wewnętrzna furja, która jednak niezwłocznie nakazowi czegoś wyższego stawała się uległą.

Mały Hub nie widział, oczywiście, tych cech nieznanego pana. Przez swoją senność z upodobaniem na niego patrzył. Wszystko w nim bardzo mu się podobało: krótkie futro z potrzebami, — podspodnia kurta szara, prosta, jakby myśliwska czy wojenna, — grube buty, takie same, jakie były w szafie u ojca, szanowane i czyszczone ze starannością, «napoleońskie», o których stary Michcik wyrażał się ze szczególnem nabożeństwem, jako o tych, co się dobrze zasłużyły w pochodzie na Moskwę.

Gość rzekł:

— Trzeba zaraz położyć spać małego.

Olbromski z posłuszeństwem rozebrał Huba i położył na łóżku, niegdyś matczynem, w sąsiedniej stancji. Łóżko stało naprost drzwi, więc Hub otulony już kołdrą, widział ze swego miejsca, jak gość, zostawszy sam na sam z ojcem, naraz zbliżył się do ostatniego i objął go ramionami. Mały jeszcze przez chwilę postrzegał, jak ojciec nachyla się i z pokorą usiłuje pocałować rękę przyjezdnego pana. Lecz oto kamienna senność ogarnęła dziecięce jego ciało, — światło zgasło i roztoczył się przed oczyma świat zgoła inny, pełen widziadeł.

Tymczasem gość, Kazimierz Machnicki, usiadł przy stole i, nachylony do Olbromskiego, rzekł:

— Przyjechałem specjalnie do ciebie.

— A czemuż kazałeś jechać stąd na sandomierski trakt?

— Dla niepoznaki. Miałem zamiar tam zanocować w jakiegokolwiek wiosce, a nazajutrz wyjść o świcie i lasami dostać się znowu do ciebie.

— Czemuż to taka ostrożność?

— Ostrożność i kwita. Źle stoi nasza sprawa.

— Kiedy wyszedłeś z więzienia?

— Rok temu, ale jestem pod dozorem szpiegów.

— Jakżeś im się wymknął?

— Wymknąłem się. Zmyliłem ich czujność, udając chorego obłożnie. Przekradłem się, żeby ci dać znać. Miej się na baczności!

— Czemu? — pytał Olbromski, mrużąc oczy i wpatrując się w gościa.

— Stało się coś niewiarygodnego, coś, co zaprzeczyło wszystkiemu na ziemi... — mówił Machnicki spokojnym szeptem. Obejrzał się znowu na zamknięte okna, na zamknięte drzwi. Słuchał uważnie, jak wiatr śwista wokół domu. Począł mówić z cicha, bez jakiegokolwiek wzruszenia:

— Jeden człowiek, za którego dałbym był rękę prawą, — nie! — dałbym był gardło, — i to nie! — dałbym był głowę, — ten człowiek nas wydał.

— Kto? — spytał z jękiem gospodarz.

— Nie powiem imienia.

— Skądże wiesz?

— Z aresztów i połączeń widzę, że tylko ten człowiek mógł takie rzeczy wiedzieć i wydać.

Popadł w zadumę. Uśmiech pogardliwy przewinął się na zimnych, zaciętych jego wargach, gdy mówił niemal do siebie, patrząc w drgający płomień świecy:

— Jakie katusze musiał przeżyć ten człowiek, co przenieść, co ujrzyć wokoło siebie, jeżeli on wydał! Była to granitowa prawość, nieustraszone męstwo, święta wierność, zaklęty honor. Przypatrzyłem się wszelkiej podłości, — prostej, jak u Nagórskiego, złożonej, judaszowej, jak u Karskiego, wymyśliłem się we wszelkie szelmostwo szpiegów, w tchórzostwo, idące do drzwi zdrady, — i zdało mi się w pysze mojej, że już wszystko widział. Teraz przyszedł na mnie sztych — nie miecza, nie szpady, nie topora, nie noża...

— Nic cię nie rozumiem... — mruknął Olbromski.

— Mało mam czasu. Wiedz, że albo musisz uchodzić co tchu zagranicę, albo przygotuj się na porwanie lada dzień.

— Taka to wieść... — westchnął Rafał.

— Lecz przed jakąkolwiek twoją decyzją, ja cię jeszcze chciałem wziąć w służbę dzieła. Cóż postanowisz?

Olbromski powiódł dłońmi po obrzęklej zagnałej twarzy, do której krew napłynęła, po nabrzmiałych, jak strąki, żyłach skroni. Pokastując, rzekł z wolna:

— Zagranicę... w każdym razie... nie, nie ujdę. Dokąd że to mam iść? Tu mam oto... dom...

Po chwili w zamyśleniu, bezdźwięcznie poruszył wargami. Machnicki posłyszał to niewypowiedziane słowo:

— Hub...

Mówił, przeczekawszy chwilę:

— Ty jesteś jeden, tyś tylko jeszcze został na wolności z dawnego braterstwa mularskiego. Reszta w więzieniu, albo w rozproszeniu. Musisz, zanim cię wezmą, to znaczy jutro rano, jechać w drogę aż na Wołyń i przetrzec całe Narodowe Patryotyczne Towarzystwo, jeżeli jeszcze jest na wolności tamten odłam.

— Jutro rano? — pytał Olbromski z twardym posłuszeństwem.

— Sam widzisz. Jeżeli utworzyli nowe związki, niechże je od siebie co tchu odetną, wyznaczwszy zarząd. Niech papiery palą, nici przecinają i czekają na uwięzienie. Sam wszystko, co tylko masz pisanego u siebie, masz zaraz zniszczyć. Ja ci pomogę.

— Nie wiele tu mam. Wszystkie papiery trzymam zakopane w pewnej skrzynce, w ogrodzie.

— A nikt nie widział miejsca?

— Nikt. To jest... Nikt, prócz tego starego sługi.

Machnicki roześmiał się szyderczo.

— Ten człowiek nie powie... — zauważył Olbromski.

— Niema takiego, któryby nie powiedział.

— Ten człowiek...

— Jeżeli wydał tamten, on, — posłuchaj, — brat — „Likurg”.

— Likurg... — wyszeptał Olbromski, cofając się z przerażeniem.

Machnicki siedział z głową podpartą na ręce. Twarz jego stawała się sztywną, niemilosierzną, wreszcie srogą aż do okrucieństwa. Począł mówić:

— Nie wierz nikomu! Nie wierz nawet sobie, bo możesz popaść w obłąd — i w obłądnie wydać. Ażebym panem swego umysłu i nawet w obłądnie nie wydać, trzeba w swój umysł za dnia i w nocy wbijać jedno jakoweś hasło, któreby przetrwało wszystko, sam rozum, a nawet śmierć.

Rafał nachylił się i słuchał, gdy tamten mówił.

— Dla mnie takim hasłem było zdanie, które mówiłem i pisałem na wszystkie pytania, dawane mi ustnie i na piśmie przez dwa lata.

— Jakież to zdanie?

— „Albo wiem i nie chcę powiedzieć, albo nie wiem i w takim razie nie mogę powiedzieć”. Idź teraz sam do ogrodu, wykop ową skrzynkę i przynieś tutaj.

Olbromski namyślał się.

— Wstań i wykonaj, com powiedział! — rzekł gość.

Gospodarz podniósł się ociężale, wyszedł do izby, gdzie spał Hub i długo tam czegoś szukał. Zamykał i otwierał szafy, przeszukiwał wnętrza kufrów. Wreszcie wyszedł, niosąc w rękę małą siekierkę i graczę na długim stylisku. Nie rzekłszy słowa, wyszedł z pokoju.

W domu nastała cisza. Wiatr wzdychał u węglów i huczał na poddaszu. Machnicki siedział z głową podpartą na rękę, zatopiony w myślach. Zwolna jego twarz stawała się mniej sztywną, łagodniała. Powiódł oczyma po bielonych ścianach dworu, po starych-prastarych meblach, dawnych sprzętach, po wizerunkach marszałków napoleońskich, wiszących tam i sam, po szerniałych podobiznach Kościuszki i księcia Józefa... Wstał z miejsca i więziennym obyczajem, wskutek odruchu nieświadomości, począł na palcach chodzić z kąta w kąt izby gościnniej. Od ruchu jego postaci płomień świec chwiały się w różne strony, a cień wałęsał się po ścianach, powale i kątach. W jednej chwili, dla samego siebie niespodzianie, ujął w rękę świecę i tak samo na palcach, cichaczem wszedł do sypialni sąsiedniej. Przysłonił dłonią płomień i patrzył na uśpionego chłopczyka. Hub chrapał, w twardym śnie pogrążony. Ręce jego były rozrzucone, bezwładna głowa wbiła się w głębinę poduszki. Pod zwichrzoną czupryną widać było czoło białe, jak płatek śnieżystej róży. Policzki i uszy były ponsowe, tryskające zdrowiem. Rozchylone usta przypominały pęk kwiatu co się pod słońcem rozwija. Nocny gość oparł się piersiami o krawędź łóżka i przypatrywał się śpiącemu dziecku. Myśli jego stawały się radosne, piękne, pełne świętego uniesienia, jak ten uśpiony cud życia, — płynęły przez duszę, jak sen na jawie. Ominęły wszelkie kryjówki żalu, skrytości mściwych wyrzutów, odeszły — odeszły ode złego i stały się czyste. Ukochane oczy kobiece, słodycz głosu, rozkosz marzenia, — wszystko szczęście było nisko, daleko... Myśl się wzniosła nad niziną opuszczoną jak gdyby anioł wszystko widzący. Lecz nagle wichur nieubłagany uderzył w jej skrzydła, wylał ją ku dołowi, zwichrzył i potargał. Patrząc na uśpionego chłopca, gość myślał:

— Przyszedłem, żeby ci zabrać ojca... Mój mały, mój mały!... Kiedyż ja ci go wrócę? Czy ci go wrócę?

Wpatrzył się uparcie, pilnie, przenikliwie, jakby chciał zobaczyć oczyma sny tej małej istoty, a może przyszłe życie człowieka, który z niej wyrośnie. Skupił w jedno wszystkie siły swej duszy i błogosławił temu dalekiemu życiu.

Dał się słyszeć szcęk klamki. Rafał Olbromski wracał zaśnieżony, ze skostniałymi rękami. Niósł skrzynkę, okutą blachą. Postawił ją na stole i podważył wieko. Zagrzawszy nad ogniem ręce, wyjmował stare druki i pisma. Wszystko, cokolwiek tyczyło się Wielkiego Wschodu Narodowego, Wolnomularstwa Narodowego, dawne okólniki kapituły i listy z poszczególnych łóż, wszelkie papiery, pochodzące od komisji naczelnej Towarzystwa Patryotycznego, odkładał pośpiesznie na bok. Machnicki zbliżył się i obadwaj przeglądali nawet listy prywatne. Jeżeli znaleźli cokolwiek niebezpiecznego, odkładali na stronę. Gdy cała szkatułka zbadana została do samego dna, Olbromski przejrzał jeszcze swe papiery najbardziej osobiste i część z nich znowu włożył do wnętrza. Wszystkie inne papiery zanieśli obadwaj do kominia, który się wysuwał aż na środek izby. Gospodarz wydobył z popieliska rozżarzone węgle drzewa i podłożył je pod papiery. Buchnął wnet płomień i pożarł wszystko. Patrzyli obadwaj w posępnym milczeniu na płomień, dopóki nie zamienił tego stosu na górkę fioletowej perzyny, po której złote iskry błędziły. Wówczas zabito znowu skrzynkę i Olbromski miał ją odnieść na dawne miejsce w ogrodzie. Przed wyjściem odezwał się:

— Czemuś to kazał spalić? Szkoda mi! Miałby być chłopiec po mnie pamiętkę, gdy dorosnie. I takby jej nikt nie znalazł, bo Michcik, ten sługa, który o skrzynce wiedział, skonałby pod kijami, a nie wydał miejsca, gdzie skrzynka leżała...

— Wydałby, czy nie, tego nie wiesz. Skoro jeden człowiek wiedział, należało zniszczyć. Nie miałeś prawa trzymać tych papierów. Amatorowie bazgranin! Niech syn twój żyje sam, nie w historii ojca myślami się wałęsa. Odnieś skrzynkę i zakop w innym miejscu!

Rafał wyszedł. Machnicki wziął krzesło i usiadł przed kominem, gdyż świece już dogasały. Myśli tego człowieka stały się teraz zaćmione. Użał się przed tą tlejącą perzyną, która strawiła owoc tyłu wysiłków, prac i uniesień w dziedzinie idei, — że nie ma sam kąta, domu, noclegu, schronienia w ojczyźnie, lecz jest poszturhańcem pana, własnością na postronku, którą kara pędzi z miejsca na miejsce. Uczuł, że nie tylko sam jest taki, lecz nadto musi wydzierać dom i schronienie tym najlepszym, którzy je jeszcze posiadają, a nie wydzierać nie może. Wspomnił na pogasłych śmiercią samobójczą w więzieniu, mocnych i niepotomnych, dębowe pnie zrębu ojczyzny, Dobrzyckiego i Koszuckiego, — przeliczył w pamięci słabych i struchlałych, podłych, nikczemników i łotrów. Równy oddech śpiącego dziecka, który słychać było z sąsiedniej izby, popychać się zdawał jego myśli wyżej i dalej. Moc niewiadoma rozpętywała się w nim. Poczul w sobie znowu dawną, tylekroć przetrąconą siłę, rozkosz i przekleństwo swej duszy. Rozeznał ją w sobie, harpię woli, potężne swe zdrowie, które, jak kość w goleni, było żelaznym drągiem przelamane. Patrzył znowu na jawie w dobro zamknięte w mózgu, w pomysły i formy doskonałości, obrobione aż do najdrobniejszych szczegółów, — w przeciągu samotnych lat nauki i doświadczenia, na wojnie i w pokoju, w słońcu swobody i czasu mroków więzienia zważone i zmierzone, — jak stały się śmieciem zagłady. Rozumiał, że się w nim rozpala przygasły więzienny gniew, że poczyna kipieć, jak lawa w wulkanie. Znał go, ten straszliwy, niewidzialny, skryty i niemy, bezdenny gniew, który siłą woli w ciągu lat ścisnęła i skupiała w szczelinach szaleństwa duszy. Wiedział, że z jego tajników wybucha piorun, nad którego strzeleniem nie panuje rozkazanie umysłu, i że nieopisany grzmot rozpaczy wstrząsa wtedy posady rozumu. Uzbroił się przeciwko sobie i zdusił wszelkie uniesienie. Wola wyniosła się ponad wszystko i stała znowu zimna, spokojna i przemądrzała. Myśl wróciła z przepaści na ścieżki wykute w skałach, wyżłobione w kamieniu bezsennością ducha robotą.

Świece zgasły. Gdy Olbromski powrócił, wyszukał świece nowe i zapalił. Wówczas znowu zasiedli przy stole. Machnicki zaczął dyktować marszrutę podróży. Olbromski miał jechać niezwłocznie, nazajutrz, miał jechać wciąż, nigdzie się dłużej nie zatrzymując, na Opatów, Zawichost, Lublin. Miał się następnie udać w «obwód» wołyński, podolski, i kijowski, dotrzeć do Związku Templaryuszów, zobaczyć wskazanych ludzi. Późno w nocy skończona została narada. Gospodarz przyniósł pościel. Gość położył się w pierwszym pokoju na sofie. Nim usnął, słyszał, że Olbromski chodzi z latarnią po domu, zbiera i składa rzeczy, otwiera i zamyka szafy, kufry, skrzynie, znosi skądś stare, skórzane wojskowe juki i tłumoki.

Był jeszcze zupełny mrok, gdy go obudziło trzaskanie ognia. Wysoki, chudy i żyłasty chłop znosił naręcza ośnieżonego drzewa i kładł je do komina. Śliczny ogień buzował w czeluści głębokiej i strzelał na izbę iskrami. Machnicki przypatrywał się palaczowi, zakrywając swą twarz i udając, że jeszcze drzemie. Chłop był w krótkim do kolan kożuch i w grubych juchtowych butach. Z jego wyprostowanej figury i sprawnych ruchów znać było, że to dawny żołnierz. Oblicze jego było gładko wygolone, z pozostawieniem na górnej wardze krótko przyciętego wąsa. Włosy siwe były nisko przystrzyżone. Twarz i postać surowa. Palacz kładł polana w komin i, klęcząc przed ogniem, grzał od czasu do czasu zgrabiałe ręce. Po krótkim, lecz twardym śnie, Machnicki doświadczył uczucia rozkoszy. Cieszyła go myśl, że jest zdala od więzień i miast. Podobał mu się ów człowiek, klęczący przed ogniem. Pomyślał:

— To jest pewnikiem ów Michta, czy Michcik, „wierny sługa”.

W pewnej chwili wszedł do pokoju Olbromski. Sługa wstał z kolan i zwrócił się sprawnie twarzą do dziedzica. Olbromski dał mu znak, żeby mówić pocichu, wskazując posłanie gościa. Machnicki słyszał rozmowę:

— Wyjeżdżam na polowanie w dalekie strony.

Michcik podniósł brwi i bez zdumienia, lecz ciekawie patrzył w oczy pana. Blask ognia padał na jego twarz spokojną i rozumną.

— Zajmiesz się tu sam wszystkim. Bydłu w porę zadawać, ludzi w czas budzić, młocki z uwagą pilnować, omłot dobrze mierzyć, zamykać pilnie śpichlerz, obory i stajnię.

— Długo to będzie onego polowania? — wykrztusił Michcik, jękając się zajadle.

— Długo.

— Tydzień, dwa?

— Zapewne dłużej.

— Niby jak?

— Cóż ci do tego? Tak będzie, jak ci mówię! Chłopca mi dzisiaj odwieszysz do szkół, oddasz w ręce tej pani, gdzie był przed świętami. Będziesz na niego baczył. Oka nie spuścisz. Gdybym zaś bardzo długo nie wracał...

— Jakoż długo?... — warknął Michcik.

— Może tak być, że i bardzo długo!... — zaperzył się szlachcic.

Stary żołnierz pokiwał głową.

— Twoja rzecz, — ciągnął Olbromski, — baczyć na chłopca. Gdybym, mówię, nadmiar długo, co już własnym rozumem zmiarkujesz, nie wracał, zaczniesz po kolei sprzedawać jałówki co młodsze, naprzód Latoszkę, Siwą; tę Knapińską, a za stancję chłopca będziesz pilnie, na termin płacił, wszystko porządnie i za kwitami. Bieliznę mu co tydzień posyłać czystą przez umyślnego i co się da z pieczywa, wędliny, powideł, orzechów... Będziesz sam wiedział, co dać i ile. Gdyby zaś, — słyszysz? — i owo zgoła nie starczyło gotówki, wyprowadzisz parę cugową, gniadego wałacha i Oskę na jarmark i sprzedasz sam, własnym rozumieniem. A przecie mi, do kaduka! baczyć, żeby takich koni nie marnować!

Michcik, pilnie panu w oczy patrząc, przybladł. Wyprostował się jeszcze bardziej, ręce po sobie.

— Gniadego i Oskę na jarmarku sprzedać? — rzekł po długich wysiłkach, jakby chcąc wbić sobie w pamięć ten rozkaz niewiarygodny.

— Pieniądze schowasz w trzos, ten, com go na Moskwie miał. Ten ci zaś już dziś darowuję. Zważ, co za dar i oceń! Wprost z jarmarku pojedziesz do miasta. Żeby cię zaś nie napadli, gdzie pod Wygodą, skoro się zwiedzą. To też króćce obie wziąć za pas, a w sekrecie, nie pokazać po sobie, że się broń ma. Za wszystko *stricte* płacić gotowym pieniądzem. Ubranie co wtorek opatrzysz mu własnym okiem, buty, koszule, majtki, czapkę, kurtkę, płaszcz wyczyścić, a jeślidziury, zaraz naprawić. Jeżeli na nic — Zelika zaraz wołać i szyć z nowego sukna, za gotowy pieniądz. Napominać moim imieniem, żeby się dobrze uczył, sprawował. Pilnuj, doradzaj, naganiaj! Gdyby zaś, czego Boże broń! — zachorował, tam przy nim dzień i noc masz spać w podległości, a pielęgnować! Jeżeli by kto krzywdził, srogo bronić. Żołnierską w nim duszę krzepić, twardość hartować, po naszemu... Sam wiesz...

Michcik milczał, coraz bardziej w miarę przemowy znieruchomiały. Gdy Olbromski zamilkł i patrzył w ogień, sługa wyjąknął:

— Jakoż to!

— Dosyć!

— Czy się ta znowu, znowu... — zanieśło?...

— O tem milczeć!

Ale stary nie milczał. Zapytał sekretnym sposobem:

— Z Niemcami, czy zaś z Moskwą?

— Kiedyś się dowiesz.

— Jakoż obcym powiadać?

— Na polowanie pojechał w dalekie lasy. Lada dzień wróci. A więcej nic niewiadomo.

— Gniadego i Oskę na jarmark...

— Teraz idź mi, obroki zasypać, a szczerze trzem parom. Jedna para pójdzie do miasta z tobą i małym, — ta zaraz z południa. Druga, cugowa, kutemi saniami pójdzie w inną stronę, na odwieczerz. Trzecia pójdzie żółtymi saneczkami, siwą fornalką. Ta ze mną, całkiem na noc. Idź mi sanie ładować! Wicek ze mną pojedzie. Ty do miasta. Stasiński kutemi saniami.

— A Stasiński w którą stronę?

— O tem milczeć.

Michcik wyszedł.

Skoro tylko drzwi się za nim zamknęły, Machnicki porwał się z postania, umył i odział co prędzej. Już słaby brzask dnia zaglądał przez szyby zamrażnięte i do połowy okien grubo zasypane śniegiem. Gdy poczęli rozmawiać z gospodarzem domu, z sąsiedniego pokoju dał się słyszeć głos młodszego pana Olbromskiego. *Junior* wstawał z pośpiechem, wdziewał buty i ubranie. Ojciec począł mu w tem pomagać ze szczególną, iście koleżeńską pieczołowitością. Gwarzyli o czemś swoim, o snach, wczorajszym błędzeniu i przygodach tej nocy. Wnet mały licealista wyszedł do pierwszego pokoju i w sposób przepisany szastną nogą w kierunku nieznanego gościa. Gość witał go z niewymowną serdecznością. Trzymał jego małą rękę w swej dłoni i nie mógł jej jakoś żadną miarą wypuścić. Przyglądał się, a przyglądał jego twarzy. Mały był czerstwy i urodziwy, tęgi i zażywny. Włosy, zmoczone wodą, jeżyły się szczerkowato na jego głowie, — wypucowana twarz miała kolor czerwonego jabłka. Wnet wszedł Michcik, niosąc imbryki i fanfury, zawierające kawę i śmietankę, na starej tacy. Wszyscy trzej zasiedli do śniadania. Rafał Olbromski pił i jadł ociężale. Myśli jego przerzynały się przez istny chaos, nawal i ogrom wzruszeń. Wszystko spadło nań nagle w ciągu tej jednej nocy. To też zgoła nie mógł mówić, pochłonięty przez zwichrzone myśli. Hub przypatrywał się gościowi spod oka. Mierzył go, oglądał, spuszczał oczy i znowu wracał do badań. Machnicki szybko załatwił się ze śniadaniem i zapragnął wyjrzeć na świat, zwłaszcza, że dzień się już zrobił zupełny. Prosił jednak o umożliwienie mu wyjścia w sposób taki, żeby go najmniej ludzi widziało. Wobec tego, że Rafał Olbromski był nadzwyczaj zajęty, Hub podjął się przewodnictwa po Wyrwach.

Ruszyli tedy przez boczne drzwi. Zamieć zimowa już ustała, — choć podmuchy wiatru jeszcze od czasu do czasu przeciągały. Wówczas z czubów i przełęcz zasp dymiły się lotne, łatwo zwiewne pyły śniegowe. Słońce weszło za lasami, za borami i błękitna jasność niewysłowionego wdzięku napełniała wszystek przestwór. Powietrze było przezroczyste, nieskalane. Dalekie góry i ciemne lasy były ośnieżone do cna, pokryte jasną oponą. Po nocnym huku ranna cichość miała w sobie wartość niewymownego ukojenia. Zaspy były tak wielkie i tak monstrualnych postaci, że te ich kształty wskazywały dowodnie, jak potężna była nocna burza. Od wielkiego modrzewia, którego śliczna postać o kolorze delikatnej rdzy rzucała się w oczy po wyjściu za drzwi domu, zwisały z gałęzi i łączyły się z ziemią chusty śniegowe tak cienkie i zaopatrzone w strzępy i zęby, że były namacalnym obrazem polotności i zadymki. — Wszystkie gałęzie drzew i drzewek pouginały się pod ciężarem czystego puchu. Na płotach i po sztachetach snuł się wełnisty baranek białopuchy. Ostrza balas powdziewały ogromne i czubate czapy. W dali zagaja, krzaki, chrósty znikły pod jednolitą śniado-białą powłoką. Machnicki ujął swego towarzysza za rękę i zeszedł z nim w śniegi. Brodzili w nadobnym, zwiewnym puchu, ciesząc się na równi każdym obrazem i każdym szelestem. Nikogo nie było w ogródzie

i pozapłociu dworskiego obejścia, nikogo w polu i na horyzoncie. Gościniec zadęło krzyżowemi sąsiedkami zasp, — ścieżki poznikały, furtki ogrodowe ledwo było widać. Poszli tedy przez tę, która była przed burzą otwarta, a teraz miała zaspę wysoką na wrotni. Śmiały się do przechodniów ogrodowe drzewka, niedawno posadzone, w swych słomianych chochołach z plecionej kłoci. Nagimi prętami kiwały dwie stare wierzby pod płotem, rzucając tym ruchem w serce małego Huba mętą boleść nie do zniesienia. Tam to, niżej, obok ścieżki wysadzonej agrestowemi i porzeczkowemi krzewy, których tylko najwyższe czubki wyglądały ku słońcu, tuliły się pomiędzy sobą gile i szczygły, mocno cienkimi łapkami obejmując zimne pręty. Pędy porzeczkowe zwisły ku ziemi pod ciężarem szczyglim, a puch śniegowy sypał się z pod nastroszonych podgardzieli i brzusków. Szczygły przekrzywały głowy i wypukłemi oczyma przyglądały się intruzom, powierzając sobie o nich jakieś krytyczne uwagi. Młodszego intruza znały dobrze, gdyż sypał im zawsze siemię lniane. Dziś nie przynosił siemienia, toteż gile i szczygły poczęły uskarżać się na niego swą niepojętą, a nieprzychylną dnia tego gwarą proletaryacką. Gdy się zbliżał, coś w ich stronę pokrzykując w swej gwarze chłopczyńskiej, zrywały się z miejsca, nie tyle — z przestrachu, ile z chwalebnej przezorności. Siadały wnet na różgach sąsiedniej krzewiny, żywo dyskutując o całym zajściu, nie bez gestykulacji ogonkami. Czerwone gile sfruwały również ze swych stanowisk, lecz jeszcze bardziej ociężałe niż pobratymcy. — Świergot szczygli był po swojemu radosny, ale jego natarczywość świadczyła o wielkim apetycie. Ptaszki przekrzywały główiny, a dzioby ich, osadzone jak gdyby w czerwonych piastach, skrzydełka, muskane jasnożółtymi smużkami, tworzyły w białości powszechnej prześliczne zabarwienie. Podmuchy wiatru podwiewały ich wzorzyste sukienki, na które, — tak się widzom zdawało, — zorza niewidoczna spłynęła pierwej, niż na błękit i białość śniegów.

Hub przeprosił gościa, dość, coprawda, niezrozumiale, — że go na chwilę opuścił. Pobiegł, śnieg na wsze strony rozpryskując, i wkrótce wrócił z sakwą, uczynioną z worka, jakiego się używa do wyciskania sera. Na widok tej sakwy wszczął się niemały rozruch, tumult i gwałt w społeczeństwie szczygłem i gilem, — świadczący o dobrych stosunkach potomka rodu Olbromskich z wymienionemi zespołami ptasiami za tych odległych czasów, które tu przyszło nam opisywać. Hub rozwiązał swą sakwę z powagą, uroczystości i wśród pewnego rodzaju perory. Powtórzyć dosłownie tę przemowę stanowiłoby po upływie tylu lat, w tej chwili, trudność nie do przewyciężenia, to też ją, jako szczegół mniej ważny, opuszczamy. Udeptał następnie obcasami i podeszwami w punkcie, którego fotografię znał, oczywiście, lepiej, niż jego milczący towarzysz, pewien rodzaj klepiska. Śnieg nie stawiał oporu, poddawał się łatwo podeszwom i obcasom, zwłaszcza, że Hub wykonywał pracę podstępnie, żywo, a jakby w prysiudy. Ruchy jego niespodziane zlewały się w jakiś taniec, który należałoby nazwać ptasim. Machnicki pomagał w przedsięwzięciu swemi wojskowemi butami, ale na krańcach tylko terenu i nieśmiało, gdyż nie był świadom ani właściwej metody prysiudów, jakie w danym przypadku czynić należało w tych obcych dlań krajach, a nadto wątpił, czy jego inicjatywa dobrze będzie widziana i przyjęta. Miejsce dobrze ubite zajaśniało równą powierzchnią w zagłębieniu i Hub wyłożył pierwszą emisję ziarna w tem Prytaneum. Zarówno szczygły jak gile rzuciły się na plac z ordynarnym zapalem, wydając okrzyki częstotliwe, świadczące o niezmiernej smakowitości konopnego siemienia. Wielkie, szybkie i zaciekle powstało zajadanie, nie przepuszczające ani jednemu ziarenku. Aliści z dalekich stron, od czarnego młyna i wielkich olch, nadleciały istne tabuny wróbli. Czarniawa tego pospólstwa obsiadła czuby płotupleciaka, okalającego ogród, rozmiotła na wsze strony mnóstwo pyłu śniegowego i ze swarem rzuciła się na resztki pastwy. Hub, jako samowładny, ale oświecony władca, rzucił między te szare skrzydełka, czerwone podgardla i nakrapiane brzuszki nowe garście, jedną i drugą. Ale dobroczynność despotów choćby i najbardziej oświeconych, szybko się wyczerpuje, zwłaszcza, jeśli w worku braknie naprawdę siemienia. Hub wysypał wszystko, co było, do ostatniego ziarenka, przewrócił worek na nice, i wewnętrzny śpiczasty róg okazał zgromadzeniu... Ale ani zawiązanie worka w węzeł, ani inne, prawdę głoścące, gesty nie wywarły dobrego wrażenia. Przeciwnie, wszystko przyjęte zostało z oziębłą nieufnością, a nawet z niedowierzająco-drwiącym szczebiotem, — jak to bywa u zgłodniałego tłumu. Hub odszedł z tego miejsca ptasiej żarłoczności, niosąc pod pachą worek,

a w sobie poczucie spełnionego obowiązku. Niósł jeszcze coś, z czym wydać się nie chciał przed nieznanym panem: żal za gilami, żal za szczyłami, których barwy wielorakie wiły mu się pod powiekami, tworząc zaiste czerwone i żółte lzy.

Biegł tedy w dół ogrodu, po zadętych ścieżkach, pełnych teraz takiego wdzięku, jakiego jeszcze nigdy nie widział na ziemi, — chyba w snach, które się czasem śnią w dzieciństwie. Na dole obadwaj z Machnickim rozgarnęli nogami zwiewną zaspę, która zajmowała otwór furtki i wyszli nad staw, rozciągający się tuż pod płotem ogrodu. Teraz nie było go wcale widać. O jego istnieniu świadczyła tylko nadzwyczajnie równa powierzchnia i dwie ciemne przeręble, obłożone wokół grubemi bryłami wydobytego lodu. Na prawo był młyn czarny, ogromny, posępny, skryty za pagórkami i groblą. Nawisły jego dach siedział na tak niskim kadłubie, utopionym zresztą w zaspach, że się wydawało, jakoby stał wprost na ziemi. Okap tego dachu, spoidła pogródek, przecznice koła wodnego obwieszane były teraz mnóstwem najcudniejszych sopli lodowych. Wśród ich lśnienia, migotań, niewymownie delikatnych barw obracało się powoli tajemnicze, wielkie czarne koło, — doskonały i potężny obraz wiecznego nawrotu pracy wioskowej, przetwarzania się jej bez końca i tożsamości, która wciąż idzie tam, skąd wyszła, — piękno, podobizna i wyraz życia wsi, wiecznego stania w miejscu. Na końcu stawu złocily się takroczone trzciny, których przydęte kity uwydatniało ranne słońce. Tuż za pogródkami był na grobli wzgórek, stanowiący, widać, odwieczną, naturalną ostoję, w którą z dwu stron grobla wrosła, zatamowując bieg strumieni. Ten wzgórek obrośnięty był wielkimi olchami. Wśród grubych pniów, ze strony burzy ośnieżonych srebrzyście, stała drewniana figura jakiegoś świętka. Hub nazwał go przed Machnickim świętym Janem. Kloc ten, z drzewa rzeźbiony prostacką ręką snycerza, był już zmurszały i popękany. Śniegi go teraz zadęły do połowy, na ramiona i na piersi wdziały mu nową, przezroczystą komżę, na głowę mitrę tajemniczego kształtu. Machnicki zbliżył się do figury i tam przystanął. Hub na widok lodu i ślizgawki, prawdę powiedziawszy, zapomniał o gościu i obowiązkach przewodnika. Rozpędzał się siarczyście po gładkim śniegu i ślizgał daleko w wyszorowanej podeszwami, czarnej smudze szczerzego lodu. Gdy biegł, lód dźwiękał pod jego obcasami. Buzia chłopca zaczerwieniła się, jak rumiane jabłuszko...

Machnicki stał wśród olch, na wzgórkach, patrząc się pilnie w ów świat, przed oczyma roztopczony, tak nieopisanie piękny, — i w postać wyrzeźbioną z drzewa. O czemś swoim, najbardziej własnym, czem z nikim na ziemi nie byłby się w stanie podzielić, o duchu swoim wewnętrznym rozmawiał z biednym świętkiem wioskowym. Był to bowiem jakby obraz widomy jego własnej mocy, która jest bardziej wieczna, niż świat, i niedoli bardziej głębokiej, niż słabość kunsztu snycerza, który wykonał to dzieło. Zdało mu się widzieć na spękanej drzewnej twarzy, pod zasnuciem śniegowym uśmiech szczęścia, który jego własne serce przenikał, zapalenie się duszy ku świętości. Myśli jego stały się niejasne i niedające się wytłumaczyć na mowę. Rozgorzałemi oczyma patrzył na ten obraz świętej woli, która przecie nie zginęła i ostała się w ludzkiej pamięci, na tę pamiątkę jakowegoś męczeństwa, które serca ludzkie na wieki wchłonęły. Śnieg omotał ten symbol świętości swemi zasłonami i wdział nań swoją powłokę, przypominającą jakoby wizerunek samego wichru, utrwalony w materyale. Ten śnieg przywołał przed oczy duszy potęgę wichru, lecącego w ludzkim sercu nad jego nieudolną świętością. Przychodzeń skarżył się świętemu, jak nie może przenikającą miarą dać sobie rady z zewnętrzną przemocą świata i jak nie może dać sobie rady ze złamaniami, szczerbami i pęknięciami swej duszy. Wskazał oczyma na młyńskie koło, obraz pracy świętego polskiego ludu, który tyle wycierpiał, a nijak nie może wyjść na swoje. Wyjawiał, że o męce tego ludu nie może przenigdy zapomnieć i że musi bronić dobra, które jest w nim zawarte, martwe, skazane na to, żeby bezpłodnie marniało. Wzdychał z głębin o tem, jak wola duszy prawej targa się w Polsce bezustanku tam i sam, niby serce dzwonu, bijącego wiekuiście w spiż przeszkody. Przeklinał, że nic, jeno głos skargi wypada z zamachów jego zacieklej mocy, z zawziętego wytrwania i z bezdennej boleści uderzeń. Wyznawał, że kto nie może złamać berła mocy krótkim narzędziem woli i kto nie może poradzić swej duszy, żeby się uległa, jak pies u jakowegoś proga, czekając na kość jałmużny, ten musi, jak ów świętek, zaiste zwrócić oczy w niebiosa i szukać w nich oczu współczujących i współwidzących.

Na nowo czuł w sercu wolność, której dotykalne wyobrażenie w długim więzieniu był stracił. Na nowoczuł w żyłach siłę i żądzę szczęścia. Pogarnęły się ku jego oczom wdzięczne lasy, daleko rozpostarte po wyniosłych górach, — położyły się przed jego władczyim wzrokiem dalekie — dalekie rozpadliny, samotniska, pola, uwrocia i ugory, jeszcze niedotknięte pługiem. Mówiły doń dzieje swego życia wąwozy, zarosłe chróstami i zamiecione głęboką zawieją. Nawzajem on im rzucał, jakoby ziarno nasienne, wieść o wielkim pochodzie, o największym, jaki świat widział, — za nic podjętym, — o największym wodzu. Patrzył w marzeniu na zapomniane widziadło nieprzeliczonych wojsk, idących przez nieprzebyte ruskie śniegi. Wielkie bitwy, marsze, bezprzykładne szarże, zwycięstwa, klęski, — Dubienka, Uściług, Zamość... Wspomniał na drugą wojnę, którą był moskiewskiemu mocarstwu wydał sam, kiedy on, niezwytyczony Napoleon, runął i znikł, — na spisek przemądrzały i na straszliwą zdradę, z braterskiego serca wyduszoną. Z uśmiechem zimnej, a bezdennie radosnej rozkoszy spoglądał w jedyną pocieszycielkę po utracie wszystkiego, w myśl swą, w swoją formułę: «Albo rzecz, o którą jestem pytany, jest mi wiadomą, albo — nie. W pierwszym przypadku postanowiłem nic nie wyjawić, — w drugim nic wyjawić nie mogę». Spojrzył jeszcze raz, a nanowo, w tę myśl, jakoby w głębinę nieskończenie długo szlifowanego kryształu i znalazł, że ta formuła jest w istocie matematycznie doskonałą. Była tak wytoczona z ducha, zdrowa, niepołomna i radosna, jak obszar zimowy, zasłany śniegami, jak czysty błękit niebieski i jak wschodzące za gór niewidzialne słońce. Uśmiechnął się do tej myśli swej, pociechy jedynej, którą był wydrążył z nicości, z okrucieństwa doli, z hańby i uczynił syntezą matematyki ducha polskich ludzi, którzy na tej ziemi są i będą kiedykolwiek w boju, w walce, w męczarni upadku.

Hub wreszcie spostrzegł, że rola gospodarza inne nakłada obowiązki, niż zażywanie slizgawki w chwili, gdy gość nie wie, w którą stronę podążyć. Zbliżył się tedy z zawstydzaniem i wyjąknął, że grobla prowadzi na tamten brzeg doliny. Machnicki chętnie poddał się woli swego przewodnika i szedł po jego małych śladach. Stąpali po przydętym lodzie, czarnym pod zewnętrzną powłoką. Hub się ośmielił. Opowiadał tedy o głębokości wód, szczególnie w zakręcie rzeczonym, gdzie nurt wpada do stawu, — o kolosalnych kłodach rosochatych drzew, które leżą w tych głębiach, — o wielkim szczupaku, zjadającym młode kaczęta, gdy się je nieopatrznie puści na wodę, — o przywarach okoni, łowionych na wędkę i o swych własnych przygodach podczas połowu linów w więcierze... Krążyli po tafli stawu, gwarząc o sprawach żywota okolicy. Wyszli na brzeg przeciwny i puścili się w górę. Krzyż, stojący między jałowcami, wskazywał, w którą stronę dąży droga. Oplotki z żerdzi były teraz, jak szkielet, na którym zawisa uroczą cielesność śniegowa. Jałowce z prawej i lewej strony, zanesione do cna, przeistoczyły się w czarodziejstwo kształtów najfantastyczniejszych pod słońcem. Jaskinie i przejścia podspodnie, kopce i szczyty strzeliste, przedziwne doliny, kopuły i wnęki... Jakże się stało wesoło! Oto z krzykiem porwały się stadem kwiczoły, żerujące w zaciszu na jałowcowych gałęziach. Z dzwonnym pokrzykiem poniosły się w modrą dal. Został po nich w uchu dźwięczny klangor, a w oku lotny połysk. Na drzewie jarzębiny, widzialnem w odległości, jemioluchy ćwierkały, jakby trzęsąc się z zimna. Hub miotał się wśród zasp, powiadając gościowi niestworzone historie o jemioluchach i kwiczołach. Ale oto z nagłą zagadnął:

- A jegomość pan jest wojskowy?
- Nie, kochaneczku.
- A jegomość pan był wojskowy, tak jak tatko?
- Byłem dawniej.
- A w jakich jegomość służył?
- Et... w różnych...
- To i na Moskwę jegomość chodził?
- Na Moskwę chodziłem.
- Razem z moim tatusem?
- Niekoniecznie razem. Twój tatuś był jeździec, a ja piechur.
- To jakież jegomość jest, — pan pułkownik, czy pan kapitan?
- Tylko major.
- A kiedy tatuś, słyszałem, mówił do jegomości: «Kochany szefie»...

— Byłem swego czasu pomocnikiem szefa sztabu w dywizji jednej pod generałem, nazwiskiem Kosiński, gdyśmy na Moskwę ciągnęli. Byłem także szefem batalionu. Dlatego tatuś nazywał mię ze swej łaski «szefem», bo u nas zawsze się tak do dawnych wojaków mówi: na kapitana — «majorze», a na majora — «panie szefie»... Taki już zwyczaj.

Hub rozważał powzięte wiadomości w milczeniu. Po chwili, z głębokim przekonaniem, choć grzecznie i głosem pełnym szacunku oświadczył:

— Nie wiem, jak to można służyć w wojsku, być oficerem, a potem nie służyć. Jabym tam wiecznie służył!

Machnicki jakoś zawstydził się. Mówił z upokorzeniem:

— Czasami takie jest położenie, że służyć nie sposób...

— No, a dlaczego?

— Jakżeby ci to wytłumaczyć? Mały jeszcze jesteś, przyjacielu. Nie mogę ci tego jeszcze wyłożyć.

— Ja rozumiem...

— Widzisz... Honor nie pozwala.

— Jakież to jest ten „honor”, proszę jegomości? Tatko to samo mi mówił, że „honor” nie pozwalał służyć. Ale ja nie rozumiem wcale takiego honoru.

— Tak... Widzisz, dawniej naszym wodzem był wielki wojownik, Napoleon...

Hub wtulił głowę w ramiona, przyczaił się, usłyszawszy to imię. Z zaiskrzonymi oczami szeptem spytał:

— A jegomość pan go widział?

— Widziałem, kochanku.

— Blisko? Jak? Tak samo jak tatuś?

— Tak samo. Nawet-em z nim rozmawiał...

— Jegomość pan?... A o czym? Kiedy?

— W izbie chłopskiej, daleko, w Rosji... Mapa leżała na stole, w piecu ogień się palił, iskry strzelały. Daleko wrzała bitwa. Pogrom... Pokazywałem mu na mapie miejsca, tłumaczyłem rozmaite rzeczy. On się pytał...

Machnicki nie dokończył zdania i poszedł dalej. Hub pobiegł za nim, wołając:

— Ale pan mi o tem honorze nie powiedział.

— O honorze... — mruknął Machnicki w zamyśleniu. — To trudne dla ciebie, mój bracie, to trudne. Za małutki jesteś, żebym ci miał takimi sprawami głowinę zaprzętać.

— A kiedy ja rozumiem!

— Cóż ja z tobą mam począć? Dawniej był naszym wodzem wielki wojownik, Napoleon, a później został naszym wodzem nie wojownik, lecz mistrz na placu musztry. Ten wielki książę nie chciał w nas szanować nieszczęścia i nienawidził naszej czci.

— Czy to prawda, że ten wielki książę... ma nos mopsa, głos ropuchy, a rzęsy jeża?

Twarz Machnickiego stała się szara, posępna i surowa. Oczy jego zaciągnęła ciemność. Mówił do dziecka:

— Nie mów o tem nigdy głośno, do nikogo, nigdy! Naucz się milczeć! Nie powtórzysz tego słowa już nigdy?

— Nie powtórzę.

— Jeżeli mi przyrzekniesz, że już nigdy nie będziesz tego głośno mówił, powiem ci, co to znaczy honor.

— Będę milczał.

— A więc... Byli oficerowie, co z Napoleonem odbyli pochody, bili się na południu i na północy w stu bitwach i co sami bywali wodzami. A kiedy weszli do wojska polskiego pod wielkim księciem, musieli występować na paradach na równi z nowozaciężnymi. Tych dawnych wojaków wódz naczelny nie lubił. Począł ich o byle frontowe przewinienie poniewierać, nieraz bardzo srogo. Był oficer Śląski, którego przed frontem skopał i skłul ostrogą. Innych znieważył w taki sposób, że tylko krew mogła tę obelgę żołnierza zmazać. Tego nie bardzo zrozumiesz, ale tak było. Wyzwać na pojedynek wielkiego księcia za zniewagę nie mogli. Wystawić ojczyznę na zemstę za zabicie w uniesieniu, w pasy — nie ważyli się. Nie mogąc żadną miarą zmyć zniewagi, ani żadną miarą nie mogąc jej na sobie przenieść, postanowili sami męczeńską śmiercią umierać. Skoro tedy wielki książę znowu

spowiewała na placu jednego oficera, ten podszedł do barjery, wyciągnął szpadę, rękojeść oparł o barjerę i rzucił się na tę szpadę, aż go na wylot przeszła. Padł twarzą w piasek. Inni odbierali sobie życie pod pomnikiem króla Jana. Przed śmiercią pisali proste listy, adresowane do przyszłych Polaków, tłumacząc, dla czego giną. Tak zginął Wilczek, Wodziński, Biesiekierski, Nowicki, dwaj bracia Trembińscy, Herman. Wszyscy oficerowie bataljonu pierwszego pułku strzelców pieszych postanowili zgładzić się dobrowolnie, odebrać sobie życie, gdy ich wielki książę niesprawiedliwie skarał. Chwila już na to była przeznaczona. Cofnęły wyrok swój na dobrowolną śmierć, dopiero wówczas, gdy wielki książę cofnął rozkaz, który im uwłaczał. Pamiętaj ich nazwiska i raduj się, że byli na naszej ziemi, bo byli to ludzie waleczni, którzy honor wyżej cenili, niż życie, którzy polski honor zasłonili tarczami i obmyli własną krwią. Wiesz teraz, co jest honor?

— Wiem.

W wyobraźni dziecięcej ukazał się oficer, żywym krokiem biegnący do barjery na placu, z obnażoną w ręku szpadą. Oczy ujrzały, jak ów odwraca nagłym ruchem szpadę, kieruje ją ku piersi i w milczeniu radosnym na ostrze się rzuca. Zdało się dziecku, że mu nad głową skrzydła szumią... Wzrok się rozognił i włosy splonęły, jakby od ognia.

— A wielki książę na to patrzył? — zapytał towarzysza.

Machnicki uśmiechnął się zjadliwie.

— Patrzył ze środka złotolitego sztabu. Ale w nim musiało serce zemdleć i drżeć, jako liść, od tego widoku. Patrzyły bataliony, ustawione w czworoboki. Wtedy to ja wyszedłem z wojska. A twój tatuś to samo.

Białe od słońca, iskrzący się tysiącem blasków, jasny dzień rozwidnił się nad przestworzem. Lśnienie srebrzystych lodów, sopli, przemarzłych kolein przecinało widownię w tysiącznych kierunkach. Puchy, zawisłe na prętach drzew i czubach krzaków, na żerdziach płotów, po krzyżach i kiściach bylin, poczęły osypywać się i dymić. Dolatywał skądś zdala radosny głos kwiczołów. Przemknęły jemioluszki stadkiem barwistem, z drzewa na drzewo. Machnicki i Hub szli w milczeniu, ciesząc się niewysłowionym pięknem zimy.

Ale oto od strony dworu dało się słyszeć nawoływanie. Hub poznał głos ojca, wzywający go do powrotu. Machnicki zawrócił. Gdy szli po własnych swych tropach, wyciśniętych w tym najczudniejszym pustkowiu, więzień doznał głuchej odrazy na myśl, że ma wracać do ludzi. Serce jego stało się znowu święte i przezyste, jak te poranne, nieskalane śniegi, niewinne jak dziecko, co się koło niego snuło. A przecież sam począł w nie sączyć jad mądrości, wysiedzianej w więzieniach, wyciśniętej ze swych starych, okrutnych i wstrętnych cierpień. Potwornymi wydały mu się nauki, które w serce dziecka sączyły, — nędznymi czyny, które w ten dom zdala widny przyniósł, — lecz nadewszystko wstrętnymi wydali mu się ludzie. Każdy z nich, kogo tylko miał spotkać na swej drodze, — był to brat, — i każdy mógł go wydać, jak tamten, «brat Likurg». Nie wierzył już nikomu. Ale wiedział o sobie, że podlega, tak samo jak inni, chorobie niewiadomej i wszystkim lękom, zmorom, strachom, trwogom, upadkom i podłości, która z choroby się łągnie. Wiedział, że co w nim jest wielkiego, to jest ze zdrowia, — że wielkość ducha — to jest zdrowie. To też obejrzał się w przestrzeń, zaniesioną zdrowiem niezmiernych śniegów — i żegnał je oczyma, jakoby widok namacalny wielkości swej duszy.

Poszedł z chłopczykiem ku zabudowaniom dworskim. Minęli znowu staw, okrążyli gumno z drugiej strony i weszli na podwórze przejściem obok stodół — wprost do stajni. Kupa nawozu dymiła się tam w czystym powietrzu, jak przyduszone ognisko. Hub wprowadził gościa do stajni ze znajomością drogi i pewnością kroku. Przeszli od razu do gródzy, w której przebywała Łyska. Zaledwie Hub zjawił się w stajni, z tej gródzy dało się słyszeć pochlebne, a raczej przedchlebne rzenie. Kobyła wykręcała się na miejscu, ile na to pozwalała uździenica, i witała swego przyjaciela i dobroczyńcę. Była to ładna, kasztanowata żrebica, ze strzałą na czole i białością w okolicy pęcin przednich nóg. Hub nie przyniósł jej wprawdzie chleba, ale za to mnóstwo karesów, pieścizetek, pozdrowień i pożegnań, — miał ją bowiem dziś za parę godzin i to na tak długo, bo na całą zimę, opuścić. Machnicki, przechadzając się z przyjemnością pomiędzy końmi, zaglądając im w zęby i lustrując nogi, spostrzegł od niechcienia, że Hub płacze i to gorzko, przytulony do szyi Łyski. Dla niepoznaki major usunął się w dalszą część stajni i zajął się tam końskimi obserwacjami, lecz z goryczą widział, że mały nie opuszcza lysinej gródzy.

Po długim, długim czasie Hub przeszedł do gródzy sąsiedniej i tam począł grubym i srogim głosem pokrzykiwać na konie cugowe i na karego ogiera szczególniejszym sposobem, który przypominał do złudzenia głos głównego furmana, Jacka Skowrona. Machnicki zbliżył się wtedy do Huba, czując, że żal już się może w małym sercu przesilił. Ale gdy stanął w pobliżu, spostrzegł, że lzy kapią wciąż sekretnie wprawdzie, ale im sekretniej, tem rzęsiściej.

Widząc, że sprawa źle stoi, ujął Huba pod rękę i począł mu gwałtownie a dziwnie pięknie opowiadać historię swego pięknego wierzchowca. A historia była taka:

Był wierzchowiec arab, czarny jak noc, a zwał się „Wrony”. Chodził był pod panem swym, szefem batalionu, na wyprawę moskiewską, brnął przez dalekie śniegi i błota, przez rzeki i bezdroża. Niósł sławę i niósł niesławę. Rżał mężnie w boju i ratował życie w ciągu nocy odwrotu. Widział był tryumf i pogrom, wielkość i nędzę, przecierpiał wszystko złe, pokonał okropną moskiewską zimę, aż po wielkiej wyprawie i trudach najcięższych przyszedł pod panem swym w odwrocie do fortecy Zamościa. Zawarła się forteca, wojska rosyjskie obległy Zamość. Cztery brygady artylerii rosyjskiej, każda po dwadzieścia dział, rzucała kule i granaty do twierdzy. Ta twierdza miała żywność na trzy miesiące, a broniła się przez dziewięć miesięcy. Dwa tysiące żołnierzy umarło w lazarecie. Gdy nie starczyło chleba, czyniono wycieczki w okolicę pod ogniem nieprzyjacielskim, nie odpasując oręża zbierano zboże. Wioski okoliczne zostały spalone. Lecz chleba nie starczyło. Wreszcie chleb całkiem ustał. Żołnierze dostawali połowę racji mięsa końskiego. Oficerowie żyli w nędzy, a konie swe oddawali na zabicie. Przyszła kolej na «Wronego». Wyprowadzony został bojowy koń, dostojny biegun. Przyszedł doń pan na pożegnanie, ostatni raz pogłodził jego bujną grzywę, ostatni raz zatopił w jego oczach pożegnalne spojrzenie. Za chwilę żołnierz przebił serce rumaka — w oczach pana. Patrzył pan spokojnie, jak rozbierano mięso towarzysza wiernego, nosiciela nadziei polskiej na niepodległość po moskiewskim rozłogu... A wkrótce nie stało koni i żołnierz począł wyjadać koty, później szczury, myszy, wrony...

Hub słuchał tej powieści, lecz w dalszym ciągu pochlipywał. Smutkiem przejmował go każdy widok i każdy sprzęt. Gdy wyszli na podwórze, ujrzał w wozowni Michcika, ładującego sanie, i serce mało nie pękło mu z żalu. To sanie do Kielc, które za parę godzin odjechać trzeba. Ze zwieszoną głową i ciemnością w oczach przyszedł w towarzystwie Machnickiego na ganek dworu i wszedł do pokoju. Rafał Olbromski siedział przy stoliku pod oknem i zatopiony był w swych rejestrach gospodarczych. Głośno rachował, pisał, coś dodawał i odejmował. Machnicki zasiadł w głębokim fotelu i, podparłszy głowę rękami, — popadł w zamyślenie.

W przeciwnym kącie sąsiedniego pokoju mieściła się wielka szafa jesionowa. Hub otworzył drzwi owej szafy, przyniósł jakowąś drewnianą skrzynkę i w niej począł układać starannie uzdę na Łyskę. Uzdeczka była z żółtego surowca, misternie szyta przez nielada majstra-rymarza. Wędzidła miała błyszczące, sprzączki mosiężne. Hub żegnał się z uzdeczką. Czyścił starannie wędzidła, polerował sprzączki, — prostował i wygładzał rękami wodze. W sekrecie przed wszystkimi, tyłem zwrócony do światła, — każdą cząsteczkę tej uzdy całował: najprzód wędzidło, później każdą sprzączkę, naczelniki i podpinki, wodze... Całość później starannie, czule wkładał do skrzyneczki, zawijał w jakieś papiery. Ale i już ułożone w schowaniu pieścił jeszcze rękoma. Nachylony nad skrytką, z dłońmi zanurzonymi w rzemieniach, trwał w niewymownym smutku. Machnicki wstał ze swego miejsca, podszedł z tyłu i uderzył go lekko w ramię. Hub podniósł nań oczy pełne łez. Gość schylił się i podniósł go, mimo protestu, z ziemi. Pocałował w usta i począł mówić do ucha jakieś nauki niewątpliwe, czy pociechy, sekretne zaklęcia na najbardziej zabójczy smutek, na zupełny upadek duszy, na żal i najbardziej niezwalczoną boleść...

Niespostrzeżenie, niby na skrzydłach jaskółki, przeleciał czas południowy. Spożyto niewykwintny obiad. Zaraz po obiedzie zajęchały przed ganek pierwsze sanie. Powoził Michcik, który miał odwieźć panicza do Kielc. Rafał Olbromski sam pakował rzeczy i bieliznę syna w kuferek drewniany. Układał wszystko pieczołowicie, po stokroć oglądając rzecz każdą. Dawał rady, nauki, napomnienia, rzucał krótkie pociechy i wesołe żarty, za którymi pełno było gorących łez... Wyniesiono kuferek i umieszczono na koźle obok Michcika. Włochate konie fornalskie dymiły się na zimnie i pokrywały się oszczędzielną. Stary sługa Michcik siedział nieruchomo, wyprostowany na koźle, w kożuchu, pokrytym

szarem suknem wojskowym i w baraniej czapce, przypominającej grenadyerską bermycę. Hub po sekretnych płaczach zdobył się na odwagę i spokój. Uśmiechał się nawet i żartował z Machnickim, gdy go sadowiono w siedzeniu i gdy ojciec otulał mu nogi kożuchem. Olbromski raz jeszcze przycisnął dziecko do serca — i kazał ruszać. Dzwonek, zawieszony u dyszla, zadźwięczał, kute sanie zaskrzypiały na chwytającym po odwilży przymrozku. Wnet sanie zjechały z pochyłości wzgórze. Rafał Olbromski stał w ganku z odkrytą głową, rozmawiając usilnie z Machnickim. Gdy Michcik zjechał na brzeg rzeki od młyna pędzącej, którą się wbród przejeżdżało, — i gdy się wziął na skos, ażeby z odmarzniętego lodowiska zjechać w wodę i na ukos z tamtej strony wydostać się, Olbromski głośno i długo o tem się rozwodził, że Michcik doskonale jeździ końmi, że, poza wadami starości, jest to bądź co bądź wypróbowany sługa... Zdawałoby się, że ktoś podsuwa wątpliwości co do zalet starego sługi, a on musi koniecznie udowodnić, że tak nie jest, jak mówią. Za rzeką sanie szły zwolna pod górę. Dawał się słyszeć pożegnalny dźwięk dzwonka, bijący wolno — wolno — wolno...

Hub wstał w sankach, obrócił twarz w stronę domu, kłaniał się czapką nisko, długo, wielokrotnie. Oczy Rafała Olbromskiego zaczerwieniły się, twarz drgnęła...

Patrzył w milczeniu, szarpiąc wąsy, jak sanki wydobyły się na szerszą drogę, wjechały w ulicę wioski i, to kryjąc się za dachami, to ukazując w przerwach, pomykały w dal... Dzwonek słyhać było coraz rzadziej i dalej... Wreszcie doleciało ostatnie jego uderzenie... Ucichło... Rafał patrzył jeszcze na koniec wsi, ale już nic nie ujrzał. Machnicki spytał:

— Żona twoja dawno nie żyje?

— Pięć lat już... — odrzekł opryskliwie.

Zapanowała chwila milczenia.

— No, bracie, — rzekł Machnicki, — na nas czas. Kiedy się i gdzie spotkamy?

— Czy się spotkamy?

Głos jego stał się twardy i rozkazujący:

— Bierz się w kupę! Do dzieła! Nie dla nas łzy, kobiety, dzieci!...

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wszystko-i-nic/>

Tekst opracowany na podstawie: Żeromski, Stefan, *Wszystko i nic*, Biblioteczka nowel i opowiadań, Wydawnictwo J. Mortkowicza, Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie, Warszawa 1935.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

Okładka na podstawie: [Cristiana Bardeanu@Flickr](https://www.flickr.com/photos/cristiana_bardeanu/), CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-1059-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.